



ROZDZIAŁ PIĄTY

Druga pani Stricks

Lucy po raz pierwszy w życiu poszła na wagar. Wiedziała, że rodzice ją zabiją, gdy się o tym dowiedzą, ale w głowie miała pilniejsze sprawy, których nie mogły rozwiązać lekcje z wiedzy o społeczeństwie. Poza tym, czy nie obiecała pani Stricks, że skupi się na tym, co naprawdę ważne?

Przed pierwszym dzwonkiem minęła Bessy – czerwoną dzwonnice – i skręciła w prawo zamiast w lewo, w stronę placu zabaw. Nie bez trudu przeniosła ciężki plecak nad ogrodzeniem z drucianej siatki. Sama przez nie przeskoczyła i znalazła się w lesie.

Aparat fotograficzny rodziców nadal był ze psuty, więc wypełniła plecak gipsem i butelkami

z wodą. Gdyby natknęła się na nienaturalnie duże ślady, mogła zmieszać gips z wodą i zrobić odlew stopy stwora, który je zostawił. To była technika popularna wśród harcerek i amatorów poszukujących Wielkiej Stopy.

Do czego to doszło? – lamentowała Lucy, zarzucając na ramię zakurzony plecak i wbiegając między drzewa.

Jej rodzice wzięli dzień wolny, żeby przyłączyć się do sporej grupy szukającej pani Stricks. To samo zrobiła większość nauczycieli. W związku z tym dyrektor Pakuna zorganizowała akademię o bezpieczeństwie w lasach, która miała trwać prawie cały dzień. Lucy miała powody przypuszczać, że na scenie pojawią się kukiełki. Była pewna, że nikt nie zauważy jej nieobecności.

Grupa poszukiwawcza miała przeczesywać szlak uczęszczany przez obserwatorów ptaków. Lucy chciała się trzymać bliżej szkoły. Planowała odwiedzić drugą panią Stricks.

Szalona czy nie, ona może coś wiedzieć.

Zapięła swoją czerwoną bluzę z kapturem i wciągnęła w płuca jesienne powietrze. Gałęzie pokryte liśćmi, oślizgłe pomarańczowe grzyby i ćwierkające dzikie ptaki zwykle ją uspokajały,

ale przez to, co się wydarzyło w ostatnich tygodniach, cały las przyprawiał ją o gęsią skórę. Dwa razy wydawało jej się, że słyszy za sobą kroki, ale gdy się odwracała, widziała jedynie poruszane wiatrem paprocie.

Zwiększyła tempo i szła drogą gruntową przez słabo zaludnione tereny. Wkrótce dotarła do zbudowanego przez panię Stricks domku znajdującego się przy skupisku wysokich sosen. Drewniane schodki prowadziły z podjazdu na wysoki ganek. Na poręczach, niczym czujni strażnicy, stały wyrzeźbione w drewnie sowy. Jedna siedząca, a druga szykująca się do lotu.

– Te sowy nie są tym, czym się wydają – odezwał się chrapliwy głos.

Lucy podskoczyła, zanim zdała sobie sprawę, że wysoka kobieta o potarganych srebrnych włosach przemówiła do niej zza siatkowych drzwi.

– To nie są płomykówki, to puszczyki – ciągnęła kobieta. Na końcu długiego nosa miała żółte okulary przeciwsłoneczne. – Po powrocie pani Stricks będzie musiała je odmalować.

– Myśli pani, że ona niedługo wróci? – spytała Lucy z nadzieją.

– Oczywiście – rzuciła kobieta. – Twyla jest bardzo zaradna, gdy zachodzi potrzeba. Wróci, zanim się obejrzysz.

– Na pewno ma pani rację – odparła Lucy, która wcale nie była tego pewna.

– Tymczasem mnie kazano tu siedzieć na wypadek, gdyby wróciła albo zadzwoniła. – Druga pani Stricks dokładnie przyglądała się Lucy. – Jesteś tą starszą dziewczyną od Sladanów, prawda?

Lucy kiwnęła głową.

– Czy mogę wejść? Nie zabiorę pani dużo czasu.

Druga pani Stricks rozejrzała się i wciągnęła powietrze.

– Możesz, oczywiście – westchnęła. – Nie będę przecież odprawiać dzieci w taki dzień jak ten.

Lucy zwalczyła w sobie chęć poinformowania jej, że jest już niemal nastolatką, i wbiegła na ganek, przeskakując po dwa stopnie naraz.

Gdy weszła do przytulnej chatki, powitał ją mocny ziemisty zapach, jakby ktoś gotował grzyby. Wzdłuż sosnowych ścian ciągnęły się półki wypełnione drobiazgami i talizmanami sprzedawanymi w sklepikach z pamiątkami

z całego stanu. Cztery różne zegary z kukułką tykały zawieszone w miejscach, w których nie było półek. Każdy z nich wskazywał inną godzinę. Panująca tu atmosfera, jednocześnie znajoma i obca, była dla Lucy dziwnie przyjemna.

Druga pani Stricks usiadła w wyściełanym fotelu w kwiatki. Wokół ramion miała owinięty ręcznie tkany szal w różowe i szare pasy. Wzięła jeden z kubków ze szklanego stolika zagraconego szklankami oraz torebkami po herbacie przypominającymi zaschnięte kwiaty.

– Napijesz się herbaty? – zapytała.

– Pewnie – odparła Lucy, podnosząc szklaną kulę z Muzeum Olbrzymich Butów w Seattle i potrząsając nią.

– Czajnik jest w kuchni.

– Aha, chce pani, żebym ja ją zrobiła.

Lucy rzuciła plecak i weszła przez wahadłowe drzwi do dziwacznej kuchni.

Sufit był pomalowany na ciemnoniebiesko i upstrzony żółtymi gwiazdkami. Pośrodku wisiała okrągła lampa przypominająca księżyc w pełni. Ściany pokryto malowidłami jeleni, szopów, żółwi i innych dzikich zwierząt. Nad zlewem wisiała akwarela przedstawiająca dwie uśmiechnięte

sowy siedzące na sękatej gałęzi. Lucy podejrzewała, że namalowała to jej nauczycielka.

Na piecu stał duży miedziany garnek, z którego buchała para – najwidoczniej to było źródło tego ziemistego zapachu. W środku bulgotało coś brązowego i pianistego. *Błeee*. Lucy nie wiedziała, co druga pani Stricks gotuje na obiad, ale nie wyglądało to apetycznie.

Na blacie obok elektrycznego czajnika stały otwarte pudełko z miętową herbatą i talerzyk z plastrami cytryny. Lucy zagotowała wodę i wzięła sobie z szafki kubek z wielkim drwalem.

Gdy herbata była gotowa, znalazła słoik z torebkami nowego zamiennika cukru. Czerwony napis głosił „Nu Co.”. Przedarła na pół głowę upiornego klauna będącego logo firmy, by otworzyć dwie z nich, i wsypała zawartość do kubka.

Uważając, żeby nic nie rozlać, wróciła do salonu i usiadła na małej kanapie w pasiaste wzory stojącej na wprost fotela. Wzięła łyk herbaty i prawie się zakrztusiła.

Jejku, to jest jeszcze słodsze niż kiedyś.

– Co cię sprowadza, panno Sladan? – Druga pani Stricks dosypała do swojej herbaty słodzi-ku i upiła łyk.